

Tuż po walentynkach

Tak, jak pisałem w poprzedniej części, rozpocząłem swoją trasę na północ. Wyruszyłem z samego rana. Nie miałem zamiaru tułać się nocami pośród hałaśliwych wodospadów, które mogłyby mnie prowadzić ciągle w ślepe zaułki. Postanowiłem, że w poszukiwaniu nowych, północnych przygód, najlepiej będzie ruszyć z rana. Nadal miałem ze sobą mapę tajemniczych wodospadów, które chciałem odwiedzić, będąc w mieście Singaraja.

Na dzień przed wyjazdem, starałem się znaleźć hostel, w którym mógłbym stacjonować przez cały pobyt, ale nie trafiłem na nic ciekawego. Wyruszyłem, z myślą, że coś znajdę już po dotarciu na miejsce i postaram się gdzieś osiedlić na jakiś czas. W końcu zostawiłem za sobą ten wielki ślad pięknych wspomnień i ruszyłem przed siebie.

Singaraja

Wsiadam na skuter i sprawdzam dokładnie drogę, jaką będę musiał przebyć z miasta Ubud. Obliczam jeszcze dokładnie, czy starczy mi dnia, by jeszcze zobaczyć jeden z wodospadów, które mam na liście. Muszę się spieszyć, bo zapowiadają dzisiaj kiepską pogodę. Nie chcę zmoknąć, tym bardziej, że mam ze sobą swój cały bagaż. Póki co, z każdej strony pali mnie słońce. Moja twarz wygląda dziwnie, bo tuż przy oczach pojawiły się białe ślady od częstego uśmiechania się. Bywajcie, prześladowcze małpy! — krzyczę na głos. — Mam nadzieję, że już was nie zobaczę. Oby, bo prawie mnie dopadłyście! Wyjeżdżam z hostelu i włączam się w ruch. Panuje tutaj ogromny chaos, myślę że w porównaniu do reszty Bali, jest tu najwięcej turystów. Chcę już się stąd wydostać.

Chcę ruszyć za kolejną przygodą, którą czuję już w sobie. Mijam zatłoczone mini sklepy, zapchane po brzegi przez turystów, chcących zgarnąć pamiątki z tego miejsca. Dojeżdżam do mostu, całkowicie oplecionego roślinnością z każdej strony. Wygląda tak, jakby natura chciała wciągnąć go do siebie, w przepaść, nad którą wisi. Nawet przez chwilę nie dociera tu światło. Małpy skaczą z każdej strony. Zwisają także na obrastających most roślinach, obserwując codzienny ruch. Zjeżdżam delikatnie w dół, by po chwili znowu jechać w górę.

Dodaję więcej gazu i pędzę przed siebie. Powoli zostawiam za sobą piękne miejsce, gdy nagle przede mną wyjeżdża pod prąd jeden z tubylców! — Hej! — krzyczy na mnie głośno. — O co chodzi, przyjacielu? — wyhamowuję mocno. — Co ty odpierdziasz człowieku! — mężczyzna nie ustępuje. Nie daje mi dojść do głosu. Wciąż kontynuuje swoją wiązanekę wulgarnych słów i zaczyna uderzać swoim przednim kołem o moje; robi tak kilka razy, wykrzykując coś po tutejszemu. — Człowieku, uspokój się! — krzyczę.

Okazuje się, że to ja jadę pod prąd, w dodatku z telefonem w ręku. Mężczyzna odjeżdża z miną, która nie należy do zadowolonych. Nie zdążyłem przeprosić. Prawdą jest to, że powinienem umocować w jakikolwiek sposób telefon z mapą na swojej kierownicy, ale zwlekałem z tym do dnia dzisiejszego. Dobrze, że nic się nie stało. Jadę wciąż przed siebie. Zaczyna ubywać robotników, którzy jeszcze z początkiem dnia stawiali mury. A słońce... Słońce nadal otacza mnie swoją ciepłą aurą i jest już naprzeciwko mnie. Pędzę, wciąż pędzę! Ale już nie pod prąd! Podśpiewuję coś pod nosem, bo odgłos silnika robi się już nudny i usypiający. Powiem ci szczerze, że podróżując po Azji nie trzymam się żadnych zasad, jeżeli chodzi o jazdę po drodze. Przed chwilą wjechałem gdzieś, omijając zakaz, tak, by skrócić sobie drogę. Droga po kilkudziesięciu kilometrach stała się dość górzysta i bardzo wąska, na tyle, że zmusza mnie, by zjeżdżać na trawę na samym uboczu, aby przepuścić samochód jadący z naprzeciwka. Trochę czuję się tutaj zagubiony.

Ani tu znaków, ani nie ma kogo zapytać o drogę. Powoli wyłaniają się przede mną domki i mieszkańcy, którzy beztrudnie siedzą na pokruszonych murach, płotach czy kolorowych ławkach i odpoczywają. Na mój widok, robią zdziwione oczy. W tym samym momencie, poczułem kilka kropel na swoich dłoniach. Spoglądam w niebo i widzę kilka chmur kumulujących się w jedną, tworząc wielki cień nade mną. Nadal czuję krople na swoim ciele. Zwalniam, bo droga ta nie służy do tego, by móc po niej pędzić. — Chciałbym już być w Singaraja, bo już trochę trasy za mną. — myślę zmęczony.